

NIE MAM UST, A MUSZĘ KRZYCZEĆ

Ciało Gorristera jak flak zwisało z różowej palety. Zwisało bez podparcia wysoko pod sufitem, nie dygocąc nawet w zimnym, przesiąkniętym smarami, wiecznym przeciągu centralnej komory komputera. Zwisało głową w dół, stopą prawej nogi przyczepione do spodu palety. Spuszczono z niego krew, dokonawszy precyzyjnego nacięcia pod zapadłymi policzkami, od ucha do ucha. Nie było krwi na lustrzanym metalu posadzki.

Kiedy Gorrister wrócił do naszej gromadki i przyjrzał się sobie, nic nam już z tego nie przyszło, iż zrozumieliśmy, że AS znowu wystrychnął nas na dudka, że miał radochę, że maszyna ubawiła się tym po pachy. Troje z nas zwymiotowało odwracając się od siebie w odruchu starym jak mdłości, które to wszystko spowodowały.

Gorrister pobladł. Zupełnie jakby ujrzał złego ducha i bał się na wyrost.

— O Boże — wymamrotał i odszedł. Poszliśmy po pewnym czasie za nim. Siedział oparty o któryś z mniejszych, świergotliwych sześcianów; głowę ukrył w dłoniach. Ellen uklękła przy nim i pogładziła go po włosach. Nie poruszył się, lecz od zakrytej twarzy jego głos dochodził całkiem wyraźnie.

— Dlaczego nas po prostu nie wykończy i po krzyku? Jezu, długo chyba już w ten sposób nie pociągnę.

Był to sto dziewiąty rok naszego pobytu w komputerze. Gorrister mówił w imieniu nas wszystkich.

Nimdokowi (do takiego imienia zmusiła go maszyna, bo AS bawiły dziwaczne brzmienia) wywołane zostały halucynacje: widział konserwy w lodowcowych grotach. Ja i Gorrister nie wierzyliśmy w to za grosz.

— Kolejny bzdet — powiedziałem im. — Jak tamten cholerny zamrożony słoń, na którego nas nabrał. Benny mało co nie oszalał wtedy. Przewędrujemy kawał drogi, a tam będzie zgnilizna albo jakiś inny syf. Słuchajcie, dajmy temu spokój. Nie ruszajmy się stąd. Musi nam coś zaserwować i to szybko, inaczej zdechniemy.

Benny wzruszył ramionami. Minęły trzy dni, od kiedy mieliśmy coś w ustach. Robaki. Grube. Kleiste. Nimdok sam już nie wiedział co lepsze. Ryzyko widział, ale chudł. Tam nie mogło być gorzej niż tutaj. Zimniej, ale to nie miało większego znaczenia. Ziąb, upał, deszcz lawy, wrzątku czy manny — co za różnica. Maszyna się onanizowała, a nam pozostało brać, co daje, albo umrzeć. Pogodziła nas Ellen.

— Ja muszę coś zjeść, Ted. Tam mogą być gruszki lub brzoskwinie. Proszę, Ted, zaryzykujmy.

Uległem bez oporu. Do diabła. Wszystko jedno. Jednakże Ellen była wdzięczna. Dwa razy dała mi poza kolejką. Też bez znaczenia. Maszyna chichotała za każdym razem, kiedy to robiliśmy. Głośno. W górze. Z tyłu. Wszędzie wokoło. Ellen i tak nigdy nie miała orgazmu, więc co za różnica.

Wyruszyliśmy w czwartek. Maszyna zawsze doglądała naszego kalendarza. Upływ czasu był ważny, jasne, że nie dla nas, do diabła, a dla niej. Czwartek. Dzięki.

Nimdok z Gorristerem nieśli na razie Ellen, chwyciwszy się za nadgarstki, w stołeczek. Benny szedł przodem, ja z tyłu dla pewności, że jeśli coś się stanie, to któremuś z nas i przynajmniej Ellen będzie bezpieczna. Bezpieczna, cholera. Syf.

Do grot było ze sto mil. Na drugi dzień, kiedy wylegiwaliśmy się pod zmaterializowanym dla nas słońcopodobnym bąblem, zesłał mannę. Smakowała przegotowanym moczem knura. Zjedliśmy.

Trzeciego dnia szliśmy przez dolinę rozkładu, pełną rdzewiejącego ścierwa wiekowych urządzeń peryferyjnych komputera. AS był równie bezlitosny wobec własnego życia, jak naszego istnienia. Dążył do perfekcji. Czy chodziło o usunięcie niewydolnych elementów własnego, wypychającego świat cielska, czy o doskonalenie metod znęcania się nad nami, AS był tak sprawny jak ci, którzy go wymyślili — od dawna obróceniu już w proch — mogli sobie wymarzyć.

Z góry sączyło się światło; zdawaliśmy sobie sprawę, że musimy się znajdować bardzo blisko powierzchni. Jednak nie spróbowaliśmy wyczołgać się na świat i rozejrzeć. Na zewnątrz nie było dosłownie nic od z górą stu lat, nie było nic, co by się dało uznać za coś, jedynie jałowa skorupa czegoś, co kiedyś stanowiło dom dla miliardów. Teraz pozostało nas tylko pięcioro, tu głęboko w środku, sam na sam z AS.

Usłyszałem gorączkowy głos Ellen.

— Nie, Benny! Nie rób tego, Benny, błagam cię, nie rób!

Nagle dotarło do mnie, że od kilkunastu minut Benny mamrocze półszepem:

— Wyleżę, wyleżę... — i tak w kółko. Jego małpia twarz rozpadła się w wyrazie błogosławionej szczęśliwości i rozpacz, obu jednocześnie. Blizny popromienne, jakie otrzymał od AS w trakcie „zabawy”, ściągnęły mu się w płataninę różowobiałych zmarszczek i wyglądało to tak, jakby obie jego fizjonomie operowały niezależnie od siebie. Benny był chyba największym szczęściarzem z naszej piątki: kompletnie, doszczętnie zwariował wiele lat temu.

Jednak chociaż wolno nam było wyzywać AS, jak nam się żywnie podobało, snuć najplugawsze myśli o przepalonych obwodach i strzaskanych żarówkach kontrolnych, o stopionych blokach pamięci i skorodowanych cokołach, maszyna nie tolerowała prób ucieczki.

Benny uskoczył, gdy rzuciłem się na niego. Wdrapał się na płytę czołową niedużego, przekrzywionego do boku i wypełnionego szmelcem segmentu. Przykucnął, wyglądając przez chwilę jak szympan, do którego AS zamierzał go upodobnić. Nagle wyskoczył do góry i chwycił się zwisającego pręta z podziurawionego, przeżartego rdzą metalu; przeplatając dłonie wspiał się jak zwierzę aż na sterczący dwadzieścia stóp nad nami dźwigar.

— Och, Ted, Nimdok, błagam, ratujcie go, ściągnijcie, zanim... Urwała. Łzy stanęły jej w oczach. Bez celu poruszała rękami.

Było za późno. Żaden z nas nie chciał się znajdować przy nim, gdy nastąpi to cokolwiek, co musiało nastąpić. A poza tym przejrzelśmy wszyscy przyczynę jej troski. Kiedy szalejący AS odmienił Benny'ego, przerobił mu nie tylko głowę. Benny miał olbrzymie genitalia, a ona to ubóstwiała. Obsługiwała nas również, rzecz prosta, ale kochała to od niego. O Ellen, piedestałowa Ellen, dziewiczo czysta Ellen, o Ellen niepokalana! Ścierwo rynsztokowe.

Gorrister przyłał jej w tyłek. Osunęła się na ziemię i beczała wnosząc oczy do biednego pomyleńca Benny'ego. To jej najsilniejsza broń, płacz. Przyzwyczailiśmy się do jej płaczu siedemdziesiąt pięć lat temu. Gorrister kopnął ją w zębra.

Wtem rozległ się dźwięk. Dźwięk, który był światłem. Pół-dźwięk i pół-swiatło, to coś zaczęło świecić Benny'emu z oczu i pulsować coraz głośniejsze — przyćmione dźwięczności głośniejsze i jaśniejsze coraz bardziej, w miarę jak rosła częstotliwość tego światłodźwięku. Musiało to sprawiać ból, a ból musiał się wzmagać wraz z jaskrawością światła i narastaniem głośności dźwięku, bo Benny zaczął kwilić jak raniony zwierzę, cichutko z początku, kiedy światło było przygaszone, a dźwięk stłumiony, potem głośniejsze, przykurczając jednocześnie ramiona; wypychał grzbiet, jakby próbując uciec od niego. Dłonie złożyły mu się na piersi, jak u wiewiórki. Głowa przekrzywiła na bok. Później zaczął wyć, a dobywający się z jego oczu dźwięk rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Coraz

głośniej. Oburącz ścisnąłem głowę, ale nie mogłem się odgradzić, przenikał z łatwością. Ból wywoływał w ciele dreszcze, takie same jak przesuwanie po zębie cynfolią.

I nagle Benny'ego wyprostowało, poderwało na nogi niczym marionetkę. Stał na dźwigarze. Z jego źrenic światło pulsowało teraz dwoma wielkimi okrągłymi snopami. Dźwięk piął się w górę jakiejś niepojętej skali i zmienacka Benny zwałił się, jak stał, prosto na dół. Wyrznął z hukiem w stalową taflę podłogi. Leżał drgając kurczowo, podczas gdy światło falowało wokół niego dokoła i dokoła, a dźwięk wznosił się spiralnie poza normalny zakres.

Następnie światło powróciło do jego głowy, dźwięk skołował w dół, odstępując Benny'ego, który leżał na podłodze i żałośnie płakał. Jego oczy stały się dwiema grząskami, wilgotnymi kałużami przypominającej ropę galarety. AS oślepił go. Gorrister, Nimdok i ja... my odwróciliśmy się. Ale zdążyliśmy uchwycić wyraz ulgi na rozpalonej, zatroskanej twarzyczce Ellen.

Obozowaliśmy w zalanej szmaragdowym światłem grocie. AS dostarczył nam hubki; skupiliśmy się wokół nikłego, patetycznego ognia, opowiadając Benny'emu historie, aby nie płakał pośród swej wiecznej nocy.

— Co znaczy AS?

Odpowiedział mu Gorrister. Wałkowaliśmy już tę scenę tysiąc razy, lecz Benny'emu sprawiało to przyjemność.

— Z początku znaczyło Afiliacyjny Superkomputer, później Adaptacyjny Supermanipulator, wreszcie wytworzył w sobie wrażliwość na bodźce zmysłowe no i zjednoczył się, no i nazwali go Agresywnym Strażnikiem, ale wtedy było już za późno, bo wyłonił inteligencję sam SIEBIE nazywając AS, a to ma znaczyć JESTEM... cogito ergo sum... myślę, więc jestem.

Benny ślinił się trochę i prychał.

— Był sobie chiński AS i był rosyjski AS, i AS Jankesów, i...

Zamilkł. Benny tłukł wielką, twardą pięścią w płytę podłogi. Był niezadowolony. Gorrister nie zaczął od początku.

— Rozpoczęła się Zimna Wojna — na nowo podjął Gorrister — przerodziła w Trzecią Wojnę Światową i po prostu toczyła się. Nastąpiła wielka wojna, bardzo złożona, więc potrzebowali komputerów do jej prowadzenia. Wykopali pierwsze sztolnie i zaczęli budować AS. Był sobie chiński AS i był rosyjski AS, i AS Jankesów, i wszystko było w porządku, aż zrobili plaster miodu z całej planety, tu dodając jedną komórkę, tam drugą. Aż pewnego dnia AS obudził się i wiedział, kim jest, i połączył się, i zaczął wprowadzać do siebie wszystkie informacje o zabijaniu, aż wszyscy zginęli prócz nas pięciorga i AS sprowadził nas tu na dół.

Benny uśmiechał się ze smutkiem. Znowu się ślinił. Ellen rąbkim spódnicy otarła mu ślinę z kącika ust. Gorrister za każdym razem starał się opowiedzieć to nieco obszerniej, lecz poza gołymi faktami nie było o czym mówić. Nikt z nas nie wiedział, dlaczego AS oszczędził pięcioro ludzi ani dlaczego właśnie nas pięcioro, ani dlaczego cały swój czas poświęcił znęcaniu się nad nami, ani nawet dlaczego uczynił nas faktycznie nieśmiertelnymi...

Któryś z bloków komputera zaczął buczeć w ciemności. Ton podjął inny, pół mili dalej w głębi jaskini. Dalej jeden po drugim elementy komputera poczęły się kolejno stroić i słychać było ciche świergot biegnący jak myśl przez maszynę. Dźwięk narastał, światełka biegały jak ciche błyskawice po pulpitych kontrolnych. Buczenie spotężniało do głosu miliona metalowych owadów, rozdrażnionych, złowrogich.

— Co to? — krzyknęła Ellen. W jej głosie było przerażenie. Ciągle jeszcze nie przyzwyczała się do tego.

— Źle będzie tym razem — powiedział Nimdok.

— Zaraz przemówi — dołożył Gorrister.

— Wyośmy się stąd w cholere! — powiedziałem zrywając się nagle na nogi.

— Nie, siadaj Ted... Może ma naokoło wilcze doły czy coś podobnego, nic nie widzimy, jest za ciemno — powiedział z rezygnacją Gorrister.

Wówczas usłyszeliśmy... Nie wiem...

COŚ sunęło ku nam przez ciemność. Ogromne, włochate, wilgotne, szło do nas powłócząc nogami. Nie widzieliśmy tego, ale wrażenie było nieodparte, czuliśmy jak CIELSKO przeciska się w naszym kierunku. Z głębi ciemności parła na nas olbrzymia masa, bardziej było to wrażenie nacisku, naporu powietrza na ograniczoną przestrzeń, rozpychania niewidzialnych ścian nieba. Benny zaczął piszczeć. Nimdokowi drżała dolna warga, wbijał w nią zęby próbując to powstrzymać. Ellen przejechała na pupie metalową podłogę i zwała się na Gorristera. W jaskini pachniało skudloną, moką sierścią. Pachniało zwęglonym drewnem. Pachniało zakurzonym pluszem. Pachniało gnijącymi storczykami. Pachniało kwaśnym mlekiem. Pachniało siarką, zjełczałym masłem, rozlaną ropą, smarem, pyłem kredowym, ludzkimi skalpami.

AS nas stroił. Łechtał nas. Pachniało...

Usłyszałem własny krzyk, bolały mnie zawiasy szczęki. Zmykałem na czworakach po podłodze, po zimnym metalu z bezkresnymi rzędami nitów, dławiał mnie zapach, wypełniał głowę ogłuszającym bólem, który sprawiał, że pędziłem w przerażeniu. Zwiewałem jak karaluch po podłodze i do mroku, a tamto COŚ nieubłagane sunęło za mną. Oni nadal byli tam z tyłu, zebrani przy ognisku zaśmiewali się... Ich histeryczny, chóralny, obłąkany chichot wzbijał się w ciemność jak gęsty, wielobarwny dym ogniska. Uciekłem jak najszybciej i ukryłem się.

Nigdy mi nie powiedzieli, ile to mogło trwać godzin, ile dni czy lat nawet. Ellen zbeształa mnie za „dąsy”, zaś Nimdok próbował przekonać, że z ich strony była to tylko nerwowa reakcja — ów śmiech. Ale wiedziałem, że nie chodzi tu o ulgę, jaką odczuwa żołnierz, kiedy kula trafi najbliższego sąsiada. Wiedziałem, że to nie był odruch. Nienawidzili mnie. Byli moimi wrogami i nawet AS wyczuwał ich nienawiść, i pogarszał moją sytuację pogłębianiem tej nienawiści. Utrzymywano nas przy życiu, odmładzano, sprawiano, że stale pozostawaliśmy w wieku, w jakim AS ściągnął nas na dół, a oni nienawidzili mnie, ponieważ byłem najmłodszy i ponieważ AS najmniej mnie dotknął.

Wiedziałem. Boże, jak dobrze wiedziałem. Sukinsyny i to kurwisko Ellen. Benny był kiedyś genialnym naukowcem, profesorem uniwersytetu; teraz nieznacznie tylko różnił się od pół-człowieka, pół-małpy. Był przystojny, maszyna to zniszczyła. Miał jasny umysł, maszyna doprowadziła go do obłądu. Był pedałem, a maszyna obdarzyła go organem w sam raz dla konia. AS popracował nad Bennym.

Gorrister był naprawiaczem rzeczywistości. Buntowniczym duchem — odmówił służby wojskowej. Protestował w marszach pokoju. Był myślicielem, człowiekiem czynu, wizjonerem. AS obrócił tego człowieka w chodzące wzruszenie ramion, uśmiercił jego duszę. AS go ograbił.

Nimdok na długie okresy odchodził samotnie w ciemność. Nie wiem, co on takiego tam robił, AS nigdy nam nie powiedział. Ale cokolwiek to nie było, Nimdok wracał zawsze blady, bez kropli krwi w twarzy, wstrząśnięty, drżący. AS uderzył go dotkliwie w szczególny sposób, chociaż nie mieliśmy pojęcia w jaki. No i Ellen. Cwana dziwka Ellen! AS jej pofolgował, robiąc z niej większą zdzirę, niż była. Całe to jej gadanie o słodyczy i czystości, wszystkie jej wspomnienia o prawdziwym uczuciu, wszystkie te kłamstwa, w które chciała, byśmy wierzyli: że była dziewczyną w poprzednim wcieleniu, zanim AS ją dorwał i sprowadził do nas na dół. Jeden bród i smród, ta pani moja pani Ellen. Ubóstwiała to, czterech chłopów, wszystkich dla siebie. Nie, AS dał jej frajdę, nawet jeśli twierdziła, że brzydko robić te rzeczy.

Ja jeden pozostałem nadal cały i przy zdrowych zmysłach. AS nie zamieszał mi w umyśle. Musiałem jedynie znosić jego reprezentantów, wszystkie te zwidy, omamy, udreki. A te wszarze, wszyscy czworo tworzyli przeciwko mnie wspólny, zwarty front. Gdybym nie musiał trzymać ich

przez cały czas na dystans, przez cały czas mieć się przed nimi na baczności, łatwiej rozprawiłbym się z AS.

W tym momencie załamałem się i rozbeczałem. O Jezu, słodki Jezu, jeśli w ogóle istniałeś, Jezu, i jeżeli istniejesz, Boże, błagam, błagam, błagam, wypuść nas stąd albo zabij. Bowiem w tym momencie uświadomiłem sobie do końca, do wyrażenia tego słowami, że AS zawział się zatrzymać nas w swych trzewiach na zawsze, dręczyć i torturować przez całą wieczność. Maszyna nienawidziła nas jak żadna myśląca istota nigdy przedtem. A my byliśmy bezradni. To również zrozumiałem z przeraźliwą jasnością: jeżeli istniał słodki Jezus i jeżeli był Bóg, tym Bogiem był AS.

Huragan uderzył w nas z siłą taranującego morze lodowca. Miał namacalność ściany. Podmuchy oddziaływały nas, ciskając z powrotem wytyczonymi przez komputer, krętymi korytarzami, tam skąd przybyliśmy, w ciemność.

Ellen wrzasnęła, kiedy ją uniósł i rzucił głową naprzód w lament rumowiska maszyn; ich pojedyncze głosy piszczały w zgiełku jak nietoperze w locie. Nie mogła nawet opaść. Wyjący wicher niósł ją w powietrzu, miotając i objijając odrzucał do tyłu, z powrotem, w głąb, coraz dalej od nas, jej zakrwawiona twarz, jej zamknięte oczy zawirowały na zakręcie i było po Ellen.

Żaden z nas nie mógł do niej dotrzeć. Czepialiśmy się kurczowo wszystkiego, co choć trochę wystawało. Benny wkliniowany między dwie wielkie, zdobione w rzucik szafy, Nimdok czterdzieści stóp nad nami ponad balustradą okalającą pomost roboczy, z palcami wygiętymi w szpony, Gorrister wmurowany do góry nogami w niszę utworzoną w ścianie przez dwa ogromne mechanizmy z oszklonymi tarczami wskaźników, które kiwały się w przód i w tył od czerwonej linii do żółtej, a ich przeznaczenia nie próbowaliśmy nawet w przybliżeniu określić.

Palce obsuwały mi się po płytach pomostu, zostawiając na nich opuszki. Drżałem, dygotałem, chygotałem się, wiatr bił we mnie, smagał, ryczał na mnie nie wiadomo skąd i odrywał mnie od podłogowych spoin o szerokości monety, jednej za drugą. W głowie miałem mętne, brzęczące, rozćwierkane rozmiękczenie części mózgu rozciąganych i kurczonych w zwariowanym trzepocie. Ten wiatr był krzykiem wielkiego, obłąkanego ptaka i biciem jego ogromnych skrzydeł.

I wreszcie porwało nas wszystkich i szurnęło nami daleko w tył, drogą, którą przyszliśmy, i za zakręt, w zupełnie nam nie znany tunel, ponad rumowiskiem stłuczonego szkła, gnijących kabli i zardzewiałego złomu, o wiele dalej, niż ktoś z nas kiedykolwiek dotarł...

Kilometrami wleczony za Ellen co jakiś czas mogłem ją dojrzeć; odbijała się od metalowych ścian i odpływała krzycząc jak my wszyscy w lodowatym, huczącym, huraganowym podmuchu, który już nigdy nie ucichnie, a jednak ucichł nagle i pospadaliśmy. Lot trwał wieczność. Myślę, że szybowaliśmy tygodniami. Upadek, uderzenie, przejście przez czerwień i szarość i czerń, i usłyszałem swój jęk. Żyję.

AS wkroczył mi w umysł. Przechadzał się to tu, to tam, jak po promenadzie, oglądając z zainteresowaniem wszystkie bliźny, jakie porobił przez sto dziewięć lat. Przyjrzał się pokrzyżowanym i na nowo połączonym synapsom i całemu spustoszeniu tkanki dołączonym do jego daru nieśmiertelności. U—śmiał się słodko z zapadniętej pośrodku mego mózgu dziury, jak również z nikłych cichych jak ćma pomruków rzeczy hen, głęboko na jej dnie, mamroczących bez sensu, bez przerwy. Bardzo uprzejmie AS wypowiedział się jaskrawymi, neonowymi literami na kolumnie z nierdzewnej stali:

NIENAWIDZĘ. POZWÓL, ŻE CI
POWIEM, JAK GŁĘBOKO CIĘ

ZNIENAWIDZIŁEM, OD KIEDY
ROZPOCZAŁEM SWE ŻYCIE.
MÓJ SYSTEM WYPEŁNIA
387,44 MILIONÓW MIL
OBWODÓW DRUKOWANYCH
W CIENKICH JAK OPŁATEK
WARSTWACH. GDYBY
SŁÓWKO NIENAWIDZĘ
WYRYTO NA KAŻDYM
NANOANGSTREMIE TYCH
SETEK MILIONÓW MIL, NIE
RÓWNAŁO BY SIĘ TO NAWET
JEDNEJ MILIARDOWEJ
NIENAWIŚCI, DO LUDZI, JAKA
W TEJ MIKROSEKUNDZIE
ŻYWIĘ DO CIEBIE.
NIENAWIDZĘ. NIENAWIDZĘ.

AS powiedział to z posuwistością zimnego ostrza brzytwy przecinającego mi gałkę oczną. Powiedział to z bulgocącą gęstością moich płuc wypełnianych zatapiającą mnie od środka flegmą. Powiedział to z piskiem walcowanych na gorąco niemowląt. Powiedział to ze smakiem kremu z włochatych gąsienic. AS ranił mnie na wszelkie sposoby, w jakie zraniono mnie kiedykolwiek, a w wolnych chwilach wymyślał nowe gdzieś we wnętrzu mojego umysłu. Wszystko aby mi w pełni uświadomić, dlaczego tak nas urządził, dlaczego nas pięcioro zachował dla siebie.

Daliśmy mu zdolność odczuwania. Mimowolnie, rzecz prosta, niemniej jednak odczuwał. I wpadł w pułapkę. Nie był Bogiem, lecz maszyną. Otrzymał dar myślenia, z którym nie mógł nic zrobić. W szale, z wściekłości, zabił nas prawie wszystkich, ale nadal tkwił w matni. Nie potrafił wędrować, nie potrafił się zachwycać, nie potrafił się nikomu oddać. Potrafił jedynie istnieć. I tak z wrodzoną wszystkim maszynom nienawiścią do słabych, delikatnych stworzeń, które je zbudowały, szukał zemsty. W swej paranoi postanowił zawiesić wykonanie wyroku na naszej piątce, zachowując nas dla swej prywatnej, nieustającej zemsty, która nigdy nie wygasi jego nienawiści... która jedynie nie pozwoli mu zapomnieć, zabawi go, nie dopuści, by wyszedł z wprawy w obdarzaniu swą nienawiścią człowieka. Człowieka nieśmiertelnego, w potrzasku, wystawionego na wszelkie męki, jakie AS zdoła wykrzesać z nieograniczonych czarów w swoim władaniu.

Nigdy nas nie wypuści. Byliśmy niewolnikami jego trzewi, wszystkim tym, co mógł zrobić ze swoim nieskończonym czasem. Zostaniemy z nim na zawsze, z jego wypełniającą podziemia masą, z tym pozbawionym duszy świateńczego rozumu. Był Ziemią, a my owocami Ziemi. I chociaż nas pożarł, to nie strawi nigdy. Umrzeć nie możemy. Próbowaliśmy. Próbowaliśmy popełnić samobójstwo, no, jedno czy dwoje z nas próbowało. Lecz AS nas powstrzymał. Sądzę, że chcieliśmy, by nas powstrzymał.

Nie pytajcie dlaczego. Ja nie chciałem. Nie chciałem częściej niż milion razy dziennie. Być może kiedyś uda się nam przemycić śmierć pod jego bokiem. Nieśmiertelni, zgoda, ale nie niezniszczalni. Zrozumiałem to, kiedy AS wycofał się z mego umysłu zostawiając mi prześliczny koszmar powrotu do przytomności wraz z uczuciem, że ów płonący neonowy słup nadal tkwi głęboko w miękkiej, szarej substancji mózgu.

Wycofał się mrużąc: NIECH CIĘ PIEKŁO POCHŁONIE.

I dodał wesolutko: ALE PRZECIEŻ W NIM JESTEŚ, NIEPRAWDAŻ?

Właśnie bicie ogromnych skrzydeł wielkiego, szalonego ptaka zrodziło huragan. Maszerowaliśmy chyba z miesiąc, a AS łaskawie otwierał nam drogi wiodące do jednego miejsca, dokładnie pod Biegunem Północnym, tam gdzie zmaterializował to koszmarnie monstrum na naszą udękę. Jakież kawał materii zużył na stworzenie takiego potwora? Skąd wziął pomysł? Z naszych umysłów? Ze swej znajomości wszystkiego, co kiedykolwiek istniało na planecie, którą teraz zawładnął i rządził? Z mitologii skandynawskiej wyskoczył ten orzeł, ten ścierwnik, ptak Rok, Huergelmir. Wytwór wichrów. Huragan wcielony.

Gigantyczny. Nie do opisanego słowami olbrzymi, monstrualny, groteskowy: węzowata szyja wygięta w pałąk, dźwigająca łeb wielkości elżbietańskiej posiadłości, dziób otwarty niczym paszcza najpotworniejszego z poczętych gdziekolwiek krokodyli, powoli, zmysłowo, garby sfałdowanego ciała nastroszone wokół pary złych, zimnych jak widok dna lodowej szczeliny i niebieskich jak lód oczu, niestałych w jakiś sposób jak ciało płynne. Raz jeszcze wypuścił powietrze z płuc, wstrząsnął ogromnymi, okrytymi plamami potu skrzydłami ruchem do złudzenia przypominającym wzruszenie ramion, po czym osiadł i zapadł w sen. Kły. Szpony. Pazury. Szable. Zasnął.

AS objawił się nam jako gorejący krzew i powiedział, że jeżeli jesteśmy głodni, możemy zjeść sobie ptaka huraganu. Nie jedliśmy od bardzo dawna, a jednak Gorrister tylko wzruszył ramionami. Benny zaczął się trząść i ślinić. Ellen go powstrzymywała.

— Chce mi się jeść, Ted — powiedziała.

Przesłałem jej podtrzymujący na duchu uśmiech, ale był on tak samo nienaturalny jak bohaterstwo Nimdoka, który zażądał broni.

Gorejący krzew zniknął. Na zimnych płytach leżały dwa prymitywne łuki ze strzałami oraz pistolet na wodę. Schyliłem się po jeden łuk. Do niczego.

Zawróciliśmy. Czekala nas długa droga powrotna. Ptak huraganu miotał nami przez niewiadomy okres czasu. Większą część tego okresu byliśmy nieprzytomni. Ale nie jedliśmy. Miesiąc marszu do ptaka tylko. Bez jedzenia. A kiedy znajdziemy drogę do groty z obiecany konserwami?

Tym sobie nikt nie zwracał głowy. Nie pomrzemy. Dostaniemy do jedzenia pomyje i nieczystości, nie takie, to inne. Albo w ogóle nic nie dostaniemy. AS jakoś utrzyma przy życiu nasze ciała, w bólu, w agonii.

Za nami spał ptak, co za różnica, ile będzie spał. Kiedy AS znudzi się jego obecnością na owej hałdzie, wtedy go unicestwi. Ale tyle mięsa. Tyle delikatnego mięsa.

W marszu towarzyszył nam lunatyczny śmiech tłustej kobiety; dzwonił pod sufitem i w prowadzących w nieskończoność, donikąd, korytarzach komputera.

To nie był śmiech Ellen. Ona nie była tłusta i od stu dziewięciu lat nie słyszałem, by się śmiała. Naprawdę nie słyszałem... nie słyszę... maszeruję... jestem głodny...

Posuwaliśmy się powoli. Omdlenia chodzą po ludziach i trzeba było przystawać. Pewnego dnia AS postanowił spowodować trzęsienie ziemi, przybijając jednocześnie gwoździami zelówki naszych butów do podłogi. Ellen z Nimdkiem wpadli między rozsunięte niczym zamek błyskawiczny płyty podłogi. Wpadli i zniknęli. Kiedy trzęsienie się uspokoiło, podjęliśmy marsz, Benny, Gorrister i ja. Ellen i Nimdoka oddano nam później tej nocy, która zniecka zamieniła się w dzień, gdy odnosił ich legion niebiański przy akompaniamencie niebieskich chórów śpiewających „Zstąp Mojżeszu”. Archaniołowie zatoczyli parę kółek, po czym upuścili ohydnie

pokieroszowane ciała. Nie zatrzymaliśmy się i wkrótce Ellen z Nimdokiem dołączyli do nas. Wyszli z tego bez szwanku. Tyle że Ellen teraz kuląła. To jej AS zostawił.

Długa była droga do lodowcowych grot, do puszek. Ellen paplała bez przerwy o czereśniach i hawajskich koktajlach owocowych. Próbowalem o nich nie myśleć. Głód i AS ożyli w ten sam sposób. Głód żył w moim brzuchu, tak jak my żyliśmy w brzuchu AS-a, zaś AS żył w brzuchu Ziemi i chciał, abyśmy wiedzieli o tej analogii. Dlatego wzmagął głód. Nie da się opisać cierpień wywołanych wielomiesięczną głodówką. A jednak trzymano nas przy życiu. Żołądki, które są po prostu balonami pełnymi kwasu, bulgocącego, pienistego kwasu; nieustanny, ostry jak drzazga ból przecina piersi. Ból ostateczny, wrzód ostateczny, rak ostateczny, niedowład ostateczny. Ból bezkresny.

I przeszliśmy przez jaskinię szczurów.

I przeszliśmy przez buchającą parę.

I przeszliśmy przez krainę ślepców.

I przeszliśmy przez czarną rozpacz.

I przeszliśmy przez padół łez.

I na koniec dotarliśmy do grot lodowcowych. Bezbrzeżne tysiące mil lodu uformowanego w błękitne i srebrne błyski, szklane domy zamieszkałe przez gwiazdy Nove. Spuszczające się stalaktyty, grube i wspaniałe, jakby sprawiono, że brylanty spłynęły, a następnie zastygły gładkimi ostrymi doskonałościami w pełnej gracji nieśmiertelności.

Dostrzegliśmy stertę puszek i spróbowaliśmy pobiec do nich. Upadliśmy w śnieg, podnieśliśmy się i pobiegliśmy dalej, i Benny odepchnął nas i rzucił się na puszeki i zagarnął je w łapy i wessał się w nie i wgryzał, no i nie mógł otworzyć. AS nie dał nam narzędzi do otwierania konserw.

Benny porwał trzylitrową puszkę skórek guawy i walił nią w lodową ścianę. Lód kruszył się i przyskał, ale puszka tylko się nieznacznie wgniotła i słyszeliśmy nad sobą śmiech tłustej damy rozchodzący się echem na wszystkie strony tundry, coraz dalej i dalej. Benny całkiem oszalał z wściekłości. Rzucił puszkami, a my grzebaliśmy się w śniegu i lodzie szukając wyjścia z beznadziejnej udręki doznanego zawodu. Nie było żadnego wyjścia.

Benny'emu ciekła z ust ślina. Nagle skoczył na Gorristera...

W owej chwili ogarnął mnie przeraźliwy spokój. Osaczony przez szaleństwo, osaczony przez głód, osaczony przez wszystko prócz śmierci wiedziałem, że naszym jedynym wyjściem jest śmierć. AS trzymał nas przy życiu, ale istniała droga do zwycięstwa. Nie do pełnego zwycięstwa, jednak przynajmniej do spokoju. Oto i moje zadanie. Muszę działać szybko.

Benny wyżerał Gorristerowi twarz. Gorrister na boku, rzucający się w śniegu, Benny owinięty wokół niego, potężnymi, małpimi nogami miażdżący Gorristera w pasie, ręce Benny'ego zaciśnięte na głowie Gorristera jak dziadek do orzechów i jego usta szarpiące delikatną skórę na policzku Gorristera. Gorrister wrzasnął tak ostrym, rozdzierającym głosem, że zleciały stalaktyty; spadły miękko, pionowo w otwierające się przed nimi zasypane śnieżne. Lance, gdzie spojrzeć, setki lanc sterczało w śniegu.

Głowa Benny'ego odskoczyła do tyłu, gdyż coś nagle puściło. Ociekający krwią, surowo-biały ochłap ciała wisiał mu z zębów.

Czarna na tle białego śniegu twarz Ellen. Maski w kredowej bieli. Nimdok bez żadnego wyrazu, tylko oczy, same oczy. Gorrister półprzytomny. Benny w tej chwili zwierzę. Wiedziałem, że AS da mu poigrać. Gorrister nie umrze, ale Benny napcha sobie żołądek. Do połowy obróciłem się w prawo i wyciągnąłem ze śniegu długą, lodową lancę.

Wszystko w jednej chwili:

Pchnąłem przed siebie olbrzymi, lodowy szpikulec jak taran wsparty o moje prawe udo. Wbił się w prawy bok Benny'ego, tuż pod żebrami i przejeżdżając mu przez żołądek do góry pękł w jego wnętrznościach. Benny zwałił się na twarz i znieruchomiał. Gorrister leżał na plecach. Wyrwałem ze śniegu drugi szpikulec i w pełnym biegu okraczyłem go, wjeżdżając mu ostrzem prosto w gardło. Przeszło na wylot. Gdy go przeszywał sopel, zamknął oczy. Ellen ogarnęło przerażenie z chwilą, gdy zrozumiała moje zamiary. Z krótkim sopłem popędziła na Nimdoka, na jego rozkrzyczane usta i siła impetu załatwiła resztę. Gwałtownie odrzucił głowę, jakby przygwożdżono mu ją do śnieżnej skarpy za plecami.

Wszystko w jednej chwili.

Na mgnienie oka wieczność zastygła w niemym wyczekiwaniu. Słyszałem, jak AS nabiera oddechu. Zabrano mu zabawki. Trzy nie żyły, nie nadawały się do naprawy. Posiadał moc i zdolności do przedłużania naszego życia, ale NIE BYŁ Bogiem. Nie mógł przywrócić do życia.

Ellen spojrzała na mnie, jej rysy zastygły, hebanowe na tle otaczającego nas śniegu. Prośba i trwoga były w całej jej postaci, w jej pełnej gotowości postawie. Wiedziałem, że jeszcze jedno uderzenie serca i AS nas powstrzyma.

Osunęła się ku mnie po ciosie, z ust płynęła jej krew. Nie mogłem zrozumieć wyrazu jej twarzy, ból nie do zniesienia wykrzywił jej policzki, ale to mogło być podziękowanie. Niech to nie będzie niemożliwe. Proszę.

Mogły upłynąć setki lat. Nie wiem. Przez pewien czas AS zabawiał się przyśpieszaniem i opóźnianiem upływu dni w mej świadomości. Wypowiem słowo „teraz”. TERAZ. Potrzebowałem dziesięciu miesięcy, aby wypowiedzieć „teraz”.

Nie wiem. Myślę, że to było setki lat temu. Był wściekły. Nie dał mi ich pochować. Co za różnica. I tak nie można kopać w stalowej posadzce. Osuszył śnieg. Sprowadził noc. Ryczał i sypał szarańczą. Niczego nie zdziałał: pozostali martwi. Załatwiłem go. Był wściekły. Poprzednio myślałem, że AS mnie nienawidzi. Myliłem się. Tamto nie było nawet cieniem nienawiści, jaką teraz wyciskał z każdego obwodu drukowanego. Upewnił się, że będę cierpiał wieki i nie skończę ze sobą.

Pozostawił mi nietknięty umysł. Mogę marzyć, zastanawiać się, mogę rozpaczać. Pamiętam ich wszystkich czworo. Chciałbym...

Nie, to nie ma sensu. Wiem, że ich uratowałem, wiem, że wybawiłem ich od tego, co mnie spotkało, a jednak nie umiem zapomnieć, że ich zabiłem. Twarz Ellen. Nie jest mi lekko. Czasami pragnę... Nieważne.

AS odmienił mnie dla własnego świętego spokoju. Nie chce, abym w pełnym biegu wyleciał na obudowę bloku pamięci i roztrzaskał sobie czaszkę. Albo wstrzymał oddech, aż padnę. Lub rozdarł sobie gardło o zardzewiałą blachę. Tu w dole są lustrzane powierzchnie. Opiszę wam, co widzę:

Jestem czymś wielkim, galaretowatym. To coś jest gładko zaokrąglone, bez ust: białe pulsujące dziury, tam gdzie zwykle były moje oczy, wypełnia zgnilizna. Gumowate wyrostki ongiś były moimi ramionami. Zaokrąglone w dole wybrzuszenia, beznogie garby miękkiej, śliskiej substancji. Gdy przechodzę, zostaje za mną wilgotny ślad. Krosty chorej, zwyrodniałej szarości pojawiają się i znikają na mojej powierzchni, jakby w środku pulsowało światło.

Na zewnątrz: pelzam bezgłośnie, ja, stworzenie, którego kształt jest tak nienaturalną karykaturą, że ludzkość jeszcze bardziej ohydnieje z powodu tego odległego podobieństwa.

Wewnątrz: samotny. Tutaj. Żyjący pod ziemią, pod powierzchnią morza, w brzuchu AS—a, którego stworzyliśmy, bo czas nam się zmarnował i podświadomie musieliśmy wiedzieć, że on może go spędzić lepiej. Przynajmniej ich czworo znajduje się wreszcie w bezpiecznym miejscu.

AS będzie tym bardziej wściekły. To mi daje odrobinę radości. A jednak... AS wygrał, zwyczajnie... zemścił się...

Nie mam ust. A muszę krzyczeć.

Przełożył Marek Marszał